Werner, Stanisław

Profesor Wacław Werner (1879-1948)

Analecta 7/1(13), 183-215

1998

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

UNIVERSITAS VARSOVIENSIS

Stanisław Werner

PROFESOR WACŁAW WERNER (1879–1948)

Motto: „Pamięć to najcenniejsza właściwość duszy ludzkiej, to ona stworzyła kulturę i ci utrapieni Grecy wiedzieli dobrze, dlaczego Pamięć – Mnemozyne – uczynili matką muz. Jesteśmy godni ich towarzystwa, wszyscy jesteśmy dziś poetami, każde serce drży wzniosłym rytmem. Czy tylko dziś jesteśmy poetami? Przecież jesteśmy nimi w każdej z tych uroczych chwil, kiedy spada nam z karku tyle a tyle lat i na rozkaz tej wszechmocnej pani – Pamięci – skandujemy w sobie poemat naszej młodości..., dzielimy się poezją swych dusz z innymi, dzielimy się nią jak chlebem – szczodrzy i łaknący.

Jan Parandowski: *Wspomnienia i sylwety*. Ossolineum 1960, I wyd. str. 129 (*Zjazd koleżeński*)

To wcale nie taka prosta rzecz napisać życiorys ojca. Leży przede mną teczka pełna rozmaitych papierów: są tu ważne dokumenty, rozmaite notatki, korespondencja w jakichś istotnych sprawach. Jedne z nich posiadają wartość dokumentu – inne, to tylko jakieś szczątkowe wiadomości, które bez wyjaśnień niewiele wnoszą. No, a poza papierami, w głowie i w sercu pełno wspomnień, albo opowiadań o ojcu, świetnie nieraz podkreślających jego sylwetkę, ale których wiarygodności nie można udokumentować. Jak z takiego materiału odtworzyć prawdę o żywym człowieku? Postanowiłem ważniejsze dokumenty podać w pełnym brzmieniu, korzystać z materiału sprawdzonego lub takiego, który można uznać za wiadomości wprawdzie nie udokumentowane, ale pewne.

Wacław Henryk Bonawentura Werner urodził się dnia 14 lipca 1879 roku o godzinie $15^{\underline{45}}$ w Warszawie, w mieszkaniu swoich rodziców przy ulicy Chłodnej 5. Jego ojcem był Teodor Werner, złotnik, współtwórca i dyrektor Spółki Akcyjnej Fabryk Metalowych „Norblin, B-cia Buch i T. Werner". Indeks Uniwersytetu Jagiellońskiego Wacława Wernera podaje, że jego ojciec był kupcem z Warszawy. Rodzina pochodziła z Niemiec (Bawaria), ale ojciec był już czwartym pokoleniem osiadłym w Polsce. Pierwszym był Samuel Fryderyk Werner (1761–1836) osiadły

w Poznańskiem. Jego syn, Jan Bogobojny (Fürchtegott) żył w latach 1795–1861. Teodor August Werner (1836–1902) był synem Jana Bogobojnego i ojcem Wacława.

Matką była Albertyna z domu Norblin. Pochodziła z rodziny francuskiej Norblin de la Gourdaine i należała do czwartego pokolenia osiadłego w Polsce. Protoplastą na terenie Polski był Jan Piotr Norblin (1745–1830), znakomity malarz. Jego syn, Jan Aleksander Konstanty Norblin był rzeźbiarzem. Z kolei syn tego ostatniego, Wincenty Konstanty (1805–1872), był ojcem Albertyny Wilhelminy (1843–1902), matki Wacława Wernera.

Wacław ochrzczony został imionami Wacław Henryk Bonawentura w kościele ewangelicko-reformowanym (oboje rodzice byli tego wyznania) w Warszawie.

Był najmłodszym z rodzeństwa, miał dwóch braci i siostrę 13 lat od niego starszą. Miała ona duży udział w jego wychowaniu. Wacek darzył Marię miłością nieomal synowską. Nie mówił jej „ty", zwracał się do niej przez trzecią osobę: „niech Marychna...".

Fizyczną sylwetkę wziął Wacław raczej po Norblinach niż po Wernerach, raczej południowo-francuską, niż niemiecką. Pierwsze imiona w obu rodzinach wybierano z zasady pochodzenia słowiańskiego.

Wacław ukończył szkołę realną w Warszawie w roku 1896. Rozpoczął studia wyższe na wydziale elektrotechnicznym politechniki w Darmsztadzie. W roku 1902 zdał na tej politechnice egzamin półdyplomowy i wtedy zmienił kierunek studiów. Kiedyś, wspominając przeszłość, powiedział mi ojciec, że miał być inżynierem, ale uprzytomnił sobie, iż jako syn dyrektora dużego zakładu przemysłowego i inżynier będzie skazany na kierowanie tym zakładem i trudne konflikty między interesami załogi i własnymi i zmienił kierunek studiów.

Poświęcił się nauce ścisłej. Wybór padł na fizykę. Zaczął studiować fizykę i matematykę najpierw na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, a następnie w Getyndze w latach 1904–1908 w Niemczech oraz we Fryburgu w Szwajcarii w latach 1908–1909. Wacław wspominał czasem, że w czasie studiów zagranicznych bywało krucho z pieniędzmi. Bywało też trochę głodnawo, gdy kończyły się pieniądze przeznaczone na bieżący miesiąc, a na nowy jeszcze nie nadeszły. Na szczęście była w mieście gospoda, w której żywili się studenci. W gospodzie tej chleb i musztarda były darmo, więc gdy przyszły „suche dni" to się szło do tego lokalu i konsumowało chleb posmarowany musztardą. Wspaniały posiłek.

Inną atrakcją tego lokalu był wielki gar zupy z pływającymi kawałami mięsa. Kto wniósł odpowiednią opłatę, miał prawo do jednego „pchnięcia" widelcem. Co na widelcu zostało, stawało się własnością tego, kto wniósł opłatę. Jeśli nic nie zostało na widelcu, opłata przepadała. Gdy wszystkie kawałki mięsa zostały w ten sposób wyłowione, zupę rozdzielano darmo, komu tylko chciało się jeść. Na pewno było tam wesoło, choć nie wszyscy byli syci.

Studia uhonorowało zdobycie doktoratu. Zachował się w domu anons w języku łacińskim, którego tekst i tłumaczenie podaję:

Ryc. 1. Wacław Werner w dzieciństwie.

Ryc. 2. Wacław Werner w dzieciństwie.

„QUOD FELIX FAUSTUMQUE SIT SIMMIS AUSPICIIS SENATUS POPULIQUE FRIBURGENSIS EX DECRETO ORDINIS MATHEMATICORUM ET PHYSICORUM UNIVERSITATIS FRIBURGENSIS CUM ESSET RECTOR MAGNIFICUS HUBERTUS GRIMME PHILOLOGIAE ORIENTALIS PROFESSOR ORDINARIUS IN VIRUM DOCTISSIMUM WACLAW WERNER POLONUM DISSERTATIONE QUAE INSCRIBITUR *«ÜBER DEN EINFLUSS EINER PERMANENTEN DEHNUNG AUF DIE ELEKTRISCHE UND THERMISCHE LEITFÄHIGKEIT DER METALLE»* EXHIBITA ET EXAMINIBUS RIGOROSIS MAGNA CUM LAUDE SUPERATIS DIE XVII MENSIS MARTI MCMIX RITE SUMMOS IN PHILOSOPHIA NATURALI HONORES DOCTORISQUE GRADUM IURA AC PRIVILEGIA CONTULIT COLLATAQUE HISCE LITTERIS UNIVERSITATIS OBSIGNATIONE CONFIRMATIS DECLARAVIT AUGUSTINUS BISTRZYCKI CHIMIAE PROFESSOR ORDINARIUS ORDINIS MATHEMATICORUM ET PHYSICORUM H.T. DECANUS FRIBURGI HELVETIORUM DIE V MENSIS IULII MCMIX."

(Kto szczęśliwy szczęściem niechaj głosi: Senat krajowy Fryburga zgodnie z postanowieniem Wydziału Matematyczno-Fizycznego Uniwersytetu we Fryburgu pod przewodnictwem Jego Magnificencji rektora Huberta Grimma, profesora zwyczajnego filologii orientalnych, potwierdza dla męża uczonego, Wacława Wernera, Polaka za rozprawę zatytułowaną: *O wpływie ciągłych odkształceń na przewodnictwo cieplne i elektryczne metali*, chwali za złożenie wielce surowego egzaminu dnia 17 marca 1909. Według zwyczaju przyznaje najwyższą godność, stopień honorowego doktora filozofii i prawo przywilejów, o czym mówi dokument Uniwersytetu, opatrzony pieczęcią, ogłoszony przez Augusta Bistrzyckiego, profesora zwyczajnego chemii wydziału matematycznego i fizycznego, pełniącego funkcję dziekana Uniwersytetu Fryburskiego w Szwajcarii. Dnia miesiąca lipca 1909 roku.)

Zadzierzgnijmy w tym miejscu nowy wątek dotyczący rodziny Schuchów, pochodzącej z Saksonii. Polskim protoplastą tego rodu był Jan Chrystian Schuch, ogrodnik króla Stanisława Augusta i założyciel parku łazienkowskiego oraz autor planu urbanistycznego fragmentu Warszawy, obejmującego plac Unii Lubelskiej, plac Zbawiciela i plac Na Rozdrożu.

Do czwartego pokolenia polskich Schuchów należał Adolf Schuch (1859–1908), inżynier, który ukończył studia na politechnice w Rydze, współpracował z Lindleyami przy budowie sieci wodociągowo-kanalizacyjnej dla Warszawy. Był kierownikiem stacji filtrów, zlokalizowanej między ulicami (dzisiejszymi): Filtrową, Raszyńską, Koszykową i Suchą. Mieszkał w piętrowym domku na terenie filtrów, istniejącym do dziś, a stojącym naprzeciw ulicy Lindleya. Żoną Adolfa była Helena z Malczów, wnuczka znanego złotnika Karola Filipa Malcza, córka

Ryc. 3. Wacław Werner u progu dorosłości.

Ryc. 4. Wacław Werner w gronie kolegów z politechniki.

Zofii z Fukierów. W tej rodzinie i w tym domu 26 października 1885 roku przyszła na świat Zofia Aniela Petronela Schuch. Dzieciństwo i wczesną młodość spędzała na warszawskich filtrach, wraz z trzema młodszymi braćmi. Nie uczęszczała na pensję, jak jej matka (pensja p. Jadwigi Sikorskiej – później gimnazjum im. królowej Jadwigi). Uczyła się prywatnie. Wyrosła na piękną, utalentowaną i nadzwyczaj dobrą kobietę. Miała wykształcenie humanistyczne i przyrodnicze. Śpiewała pięknie i malowała. Jej pędzla obrazek – akwarela, przedstawiająca Świnicę w Tatrach, wisi w mieszkaniu jej najstarszej córki, Heleny Więckowskiej. Uprawiała tenis i konną jazdę. Ogromnie lubiła zaprząc bryczuszkę jednokonną i jechać nią do dalekich kuzynów Majlertów (wtedy Maylertów) do Marcelina za Żeraniem. Tam można było skrzyknąć trochę młodzieży do towarzystwa, z Tadzinka Kossakowskich, którzy mieli dwa konie pod wierzch: Prawą i Lewą, czy ze Swobody Wernerów i galopować wzdłuż toru kolejowego aż do Płud. Wynikiem jednej z takich wypraw była znajomość z młodym doktorantem – fizykiem, Wacławem Wernerem. Znajomość rychło przerodziła się w miłość wzajemną.

Wacław i Zofia zaręczyli się 5 sierpnia 1903 roku w dolinie Olczyskiej. Ślub odbył się w dniu 28 września 1908 roku, w dzień imienin Wacława, w kościele ewangelicko-reformowanym, jako, że obie rodziny należały do tego wyznania. Tak powstała nowa rodzina, moja rodzina, łącząca tradycje zasłużonych dla miasta i kraju rodów Schuchów, Malczów, Fukierów, Norblinów i Wernerów. W miesiąc po tym ślubie zmarł mój dziadek Adolf Schuch. Młodzi wyjechali do Szwajcarii, do Fryburga, gdzie Wacław ukończył w 1908 r. swoje studia doktoranckie. Młodzi wrócili do Warszawy i zamieszkali przy ulicy Pięknej 60. Tam w styczniu 1910 roku urodziła się im pierwsza córka, Helena, później Więckowska, doktor geografii, hydrolog, pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego. W kwietniu 1911 roku urodził się Witold, później inżynier rolnik, asystent Uniwersytetu Poznańskiego.

W tych latach powstała myśl budowy własnego domu. Dlaczego wybór padł na Brwinów? Ojciec lubił małe miejscowości w pobliżu większych. Milanówek był zbyt modny, natomiast Brwinów wydawał mu się pierwszą miejscowością na linii warszawsko-wiedeńskiej, której nie groziło, przynajmniej w ciągu wieku, wchłonięcie przez Warszawę, a jednocześnie położoną stosunkowo blisko stolicy. A może wpłynął na decyzję głos teściowej, Heleny Schuchowej, która – będąc dzieckiem – spędzała w Brwinowie w roku 1865 wakacje z rodzicami, Malczami jak o tym świadczy zapis (skreślony, bo błędnie umieszczony) w księdze ludności stałej gminy Moszna, do której wtedy Brwinów należał. Księgę meldunkową przechowuje Towarzystwo Przyjaciół Brwinowa w swej siedzibie „Zagroda" przy ul. Grodziskiej 57.

Do budowy domu przystąpił ojciec bardzo metodycznie. Najpierw zamówił plany domu, określając jego rozmiary, a później, wraz z żoną dyskutował i poprawiał plany, mając na uwadze jak największą wygodę przyszłych mieszkańców. Wspominał mi kiedyś ojciec, że gdyby wiedział, jakie czasy idą na kraj, nie

Ryc. 5. Wacław Werner z pierwszą żoną Zofią z Schuchów.

Ryc. 6. Wacław Werner z córką Heleną Więckowską na PWK w Poznaniu w 1929 r..

decydowałby się na budowę tak dużego i tak wyposażonego domu, lecz poprzestałby na skromniejszym. No, ale nie wiedział i dziś jego dzieci, wnuki i prawnuki korzystają z tej jego niewiedzy. Tak powstał dom nadzwyczaj wygodny i solidny, pełen szafek ściennych, zakamarków, wyposażony w najnowsze (wówczas) urządzenia techniczne; wodociąg z pompą w piwnicy (ręczną), centralne ogrzewanie na koks, z własną instalacją kanalizacyjną typu szambo, no i z ułożonymi w ścianach rurkami do instalacji elektrycznej, choć doprowadzenie energii elektrycznej do Brwinowa było tylko marzeniem. Budowę rozpoczęto (chyba) w roku 1913 i ukończono w lecie 1914 roku. Dom został wybudowany głównie z posagu Zofii oraz z kapitału jej matki, Heleny Schuch potraktowanego jako dożywocie, które ojciec wypłacał systematycznie aż do śmierci babci w 1941 roku.

W czasie budowy rodzice mieszkali na parterze domu właściciela tartaku p. Oldaka, przy ul. Grodziskiej, gdzie obecnie mieści się Urząd miasta Brwinowa. Tam w lutym 1914 roku przyszedł na świat Stanisław, późniejszy inżynier mechanik ze specjalnością – projektowanie odlewni, a także popularyzator fizyki, piszący te słowa.

Należy tu wspomnieć o pracach społecznych Wacława Wernera w latach 1913–1914. W pierwszym rzędzie była to służba w Ochotniczej Straży Pożarnej w Brwinowie. Nie wiem, czy fakt ten doszedłby do mojej świadomości, gdyby nie kask strażacki, znaleziony przez nas – dzieci na strychu naszego domu. Dopiero zapytany ojciec przyznał, że był członkiem straży i na sygnał trąbki biegał do pożarów.

O drugiej społecznej funkcji ojca dowiedziałem się z książki Kazimierza Elwertowskiego pt. *Szkoła i życie – ze Wspomnień nauczyciela*:

> „Pełniłem więc na tym terenie [w Brwinowie] rozliczne funkcje. Czy to był udział w pracach Komitetu Gospodarczego przy sołtysie, któremu przewodniczył profesor Wacław Werner, czy narzucony mi w tym samym okresie urząd sołtysa północnego Brwinowa, czy prace nad wydzieleniem Brwinowa z gminy Helenów i nadania praw samodzielnej gminy, czy przewodnictwo w dozorze szkolnym."[1]

W sierpniu 1914 roku, którejś nocy ojciec usłyszał, że woda kapie z rynny. Wstał, żeby pozamykać okna i zobaczył wygwieżdżone niebo. Wsłuchał się lepiej i zrozumiał, że to nie deszcz dudni w rynnach, ale daleki odgłos serii karabinu maszynowego. Zbliżał się front.

Dla policji rosyjskiej ojciec stał się podejrzany, bo pochodzenia niemieckiego, mówiący biegle po niemiecku i w dodatku ewangelik. Co taki człowiek robi w Brwinowie, tak blisko frontu? Ten wzgląd był zasadniczym w decyzji ojca opuszczenia świeżo wykończonego własnego domu i przeniesienia się do Warszawy. Były i inne względy: pogarszające się zaopatrzenie w żywność, trudności komunikacyjne z Warszawą i wreszcie pogarszający się stan bezpieczeństwa w Brwinowie.

Rodzina moja jesienią 1914 roku przeniosła się do Warszawy. Najpierw na krótko zamieszkaliśmy przy ul. Marszałkowskiej, ale jeszcze jesienią tegoż roku objęliśmy mieszkanie w domu wybudowanym przez dziadka Teodora, przy ul. Chłodnej 5. Jego okna wychodziły na skwerek między kościołem Karola Boromeusza i koszarami straży ogniowej mirowskiej. Mimo nawału pracy z trojgiem małych dzieci, matka w Warszawie zajęła się opieką nad szkołą, jedną ze szkół powszechnych, zorganizowanych i prowadzonych przez Polską Macierz Szkolną. Wkładała w tę pracę wiele czasu i serca. Szkoła mieściła się niedaleko od naszego domu, przy ulicy Elektoralnej. Później powiedział ktoś z działaczy Polskiej Macierzy Szkolnej, że ta szkoła miała najlepszą opiekunkę ze wszystkich szkół warszawskich.

W marcu 1918 roku urodziło się rodzicom czwarte dziecko – Maria Zofia, później kustosz bibliotekarstwa.

Okresy letnie w czasie wojny spędzaliśmy w Brwinowie, ale na zimę powracaliśmy do Warszawy. Ogród pozwalał poprawić wyżywienie w głodnych, wojennych czasach, w szczególności fasola, kukurydza, no i jabłka. Jabłonie zasadzone przez ojca zaczęły owocować.

Z 1916 roku utkwił mi w pamięci moment, gdy wpadła do domu matka i wołała na poły płacząc, na poły śmiejąc się: „Będzie Polska, będzie Polska". Chodziło zapewne o akt powołania przez Niemcy kadłubowej Polski, uzależnionej od Niemiec. Listopad 1918 rok. Rozbrojenie Niemców. Radość z odzyskania niepodległości. „Wędrówka ludów" wywołana zakończeniem wojny spowodowała przywleczenie do kraju grypy hiszpańskiej, zwanej popularnie hiszpanką. Hiszpanka zbierała obficie niwo śmierci. Matka zaraziła się tą chorobą przypuszczalnie podczas pracy w „swojej" szkole. Grypa zabiła ją w ciągu pięciu dni.

W biblii rodzinnej, gdzie notuje się najważniejsze fakty z życia rodziny, ojciec własnoręcznie napisał:

> „Dnia 21 listopada 1918 roku zmarła po 5-cio dniowej chorobie na grypę hiszpańską żona moja, Zofia z Schuchów, osierocając czworo dzieci: Halkę, Witka, Stasia i Marysię, którą na półtorej doby przed śmiercią jeszcze piersią karmiła. Urodzona 26 listopada 1885 roku, przeżyła bez kilku dni lat 33. Najlepsza z żon i matek, pełna anielskiej dobroci dla wszystkich, została pochowana w grobie rodzinnym na cmentarzu ewangelicko-reformowanym, obok moich rodziców i brata. Umarła nieprzytomna".

Nie trudno wyobrazić sobie rozpacz ojca. Stracił uwielbianą żonę, został z czworgiem małych dzieci. W rok po śmierci żony Wacław napisał list do swoich dzieci, w którym zapoznawał je z sylwetką ich zmarłej matki, wyjaśniał, czym była dla niego samego i prosił o przebaczenie, że z dziećmi o niej nie mówi, ale ból nie pozwala mu na poruszanie tego tematu.

Debaty w rodzinie jak zorganizować życie naszego osieroconego domu trwały długo. Wreszcie powstał projekt, który zyskał aprobatę ojca, i który został

zrealizowany. Zamieszkała z nami stryjenka Aniela Schuchowa, wdowa po bracie dziadka Adolfa Schucha – Florianie. Odtąd ojciec mógł spokojnie zająć się pracą.

Nauczyciel

Czym zajmował się Wacław Werner w latach bezpośrednio po uzyskaniu doktoratu? Pamięć mi tu nic nie podpowiada. Jedyny dokument w tej sprawie, to zeznanie ojca spisane w roku 1945 ze względu na fakt, że prawie wszystkie jego dokumenty zaginęły w czasie II wojny światowej. Zeznawał on, że dyplom nauczycielski, zezwalający na wykładanie w szkołach średnich ogólnokształcących i zawodowych posiadał od 1908 roku oraz, że był nauczycielem fizyki w gimnazjum p. Janiny Tymińskiej od roku 1909 do 1939. Zeznanie to potwierdziła p. Janina Tymińska i p. Władysław Kurkiewicz, a podpisy potwierdziło Kuratorium okręgu szkolnego. A więc ojciec został nauczycielem bezpośrednio po ukończeniu studiów i prawie od początku swej kariery nauczycielskiej, do jej zakończenia, był wierny gimnazjum Tymińskiej. Wiem, że miewał w zastępstwie lekcje także w gimnazjum królowej Jadwigi, ale tylko okazjonalnie. W latach 1922/23 prowadził fizykę na kursie dla nauczycieli, zorganizowanym przez Kuratorium warszawskie.

Już w tym okresie chwytał Wacław za pióro. Oto w roku 1913 wyszła książka napisana przez zespół autorski: M. Grotowskiego, M. Sadzewiczową, W. Wernera i S. Ziemeckiego pt. *Z dziejów rozwoju fizyki*. II wydanie wykonała „Mathesis Polska" w 1931 r. Ojciec napisał w tej książce następujące działy: ruch falowy, akustyka, kinetyczna teoria gazów i cieczy oraz elektryczność. Jeszcze wcześniej, bo w roku 1911, w czaspiśmie „Wektor" ukazał się jego artykuł pt. *Odkrycie Galvaniego i Volty*. W 1913 roku w tymże „Wektorze" wydrukowano kolejny artykuł pt. *Prosta metoda ćwiczeń z optyki geometrycznej*. W tym okresie pisarstwo Wacława, jak się zdaje, ograniczyło się do wymienionych pozycji, które były zapowiedzią późniejszej, znacznie obfitszej działalności pisarskiej, podręcznikowej, dydaktycznej i popularyzatorskiej.

W latach dwudziestych, niezależnie od pracy w gimnazjum Tymińskiej (i na Politechnice, o czym niżej), zajmował się ojciec sprawą międzyszkolnej pracowni fizycznej. Twór taki jest dziś nieznany i trzeba tu dodać trochę wyjaśnień. Otóż w początkach odrodzonego państwa polskiego sytuacja ogólna, a także sytuacja szkół była bardzo ciężka. Szkół było zbyt mało, aby każde polskie dziecko mogło się uczyć, a te, które powstały, na ogół gnieździły się w lokalach ciasnych, nie przystosowanych do tego celu. A jak tu nauczać fizyki, skoro brak przyrządów do demonstrowania zjawisk fizycznych, skoro uczeń nie ma możliwości wykonania własnoręcznie najprostszych nawet doświadczeń? Jedynym miejscem ucznia była ławka szkolna z pochyłym pulpitem, zupełnie nie nadająca się do wykonywania na niej doświadczeń fizycznych. W tej sytuacji powstała myśl organizowania międzyszkolnych pracowni fizycznych, z pełnym wyposażeniem w przyrządy do demonstracji i do osobistych doświadczeń ucznia, do których mogłyby przychodzić kolejne klasy z różnych szkół i odbyć w niej prawdziwą lekcję fizyki z doświadczeniami.

Właśnie organizacją takiej pracowni dla Warszawy przy ul. Jezuickiej, gdzie później mieścił się Wojewódzki Ośrodek Kształcenia Kadr Oświatowych – WODKO, zajął się Wacław Werner.

Szkoła w Brwinowie

Dom Wernerów w Brwinowie, po wyprowadzeniu się rodziny do Warszawy, w zasadzie stał pusty. Wykorzystywaliśmy go tylko na pobyty letnie. W stróżówce mieszkał ogrodnik p. Zieliński z żoną i pilnował domu. W roku 1920, gdy życie po koszmarze dwóch wojen zaczęło powoli wracać do normy, ojciec zdecydował się udostępnić parter budynku przy Słonecznej 3 na potrzeby szkoły powszechnej w Brwinowie, która tułała się w lokalach absolutnie się do tego celu nie nadających. Był z pewnością świadom tego, na jakie zniszczenie naraża dom, ale cel – umożliwienie działalności szkoły i uczczenie w ten sposób zmarłej żony – przeważył. W czterech pokojach na parterze umieszczono klasy, a w pokoju służbowym powstała kancelaria szkolna. Plac przed domem, aż do ulicy Słonecznej ogrodzono drucianym płotem tworząc boisko szkolne. Ogrodzono też ścieżkę, prowadzącą do budynków gospodarczych, gdzie wybudowano szalet dla uczniów. Furtka przy ulicy Środkowej koło Słonecznej tworzyła wejście do szkoły. Czasowo również jeden z pokojów na piętrze był wynajmowany na mieszkanie dla nauczyciela. Ojciec pobierał od władz szkolnych niewielki, raczej symboliczny czynsz. Podobno, nie mam na to dowodów, ojciec przeznaczył otrzymany czynsz na fundusz dożywiania dzieci szkolnych. Wiadomość ta pochodzi od pani Jadwigi Sobieszczańskiej, nauczycielki w brwinowskiej szkole. Kierownikiem szkoły był pan Wacław Moczydłowski. Z nauczycieli pamiętam tylko p. Sobieszczańską, jeszcze p. Siedlecką.

Szkoła korzystała z naszego domu przez 10 lat, od roku 1920 do 1930. Nie jestem pewien, ale chyba wtedy szkoła uzyskała własny, jeszcze mały budynek przy ulicach Żwirowej, Sportowej i Słonecznej. W każdym razie nie decyzja ojca spowodowała wyprowadzenie się szkoły. Pamiętam wizytę delegacji szkoły, uczniów i nauczycieli w naszym mieszkaniu w Warszawie w 1930 roku, przy wyprowadzeniu szkoły do nowego lokalu. Delegacja dziękowała za odstąpienie szkole lokalu i zostawiła laurkę z piękną akwarelką, przedstawiającą nasz dom widziany od strony ulicy Środkowej. Napis głosił: „Gościnnemu Gospodarzowi – wdzięczna dziatwa. Brwinów, dnia 28 września 1930 roku”[2].

Działalność naukowa
(Prace badawcze i wykłady na Politechnice)

Pierwszą pracą naukową Wacława Wernera była jego praca doktorska, której tytuł był tu cytowany. Następną pracą było powtórzenie doświadczeń Benedicksa, dotyczących nowego zjawiska termoelektrycznego. Sprawozdanie z tej pracy zostało ogłoszone w „Roczniku Nauk Technicznych” za rok 1922. Gdzie ta praca

była wykonana? Nie wiem, ale widzę tylko dwie możliwości. Albo w Politechnice Warszawskiej, albo w gmachu fizyki Uniwersytetu Warszawskiego przy ul. Hożej, gdzie także mieściło się Polskie Towarzystwo Fizyczne. W latach 1925–1926 nastąpił w życiu Wacława okres intensywnej pracy badawczej. Ojciec wyjechał wtedy do Holandii, do Leiden i pracował naukowo w Międzynarodowym Instytucie Niskich Temperatur pod kierunkiem jego dyrektora i twórcy W.H. Keesoma. Do badań tych został wytypowany przez swego szefa z Politechniki Warszawskiej prof. Mieczysława Wolfkego. Oderwany od wszelkich innych prac i obowiązków z rodzinnymi włącznie, mógł poświęcić się bez reszty pracy naukowej. Toteż ten okres pobytu zagranicą (dwa razy po około pół roku) zaowocował dwiema pracami naukowymi[3].

W „Problemach" Nr 9 z 1963 roku, w artykule *Wkład Polaków w rozwój fizyki niskich temperatur*, p. prof. Józef Mazur pisze: „Wacław Werner, docent Politechniki Warszawskiej badał w Lejdzie zmiany stałej dielektrycznej skroplonych gazów w zależności od temperatury".

Po powrocie z Holandii Wacław nie przerwał pracy naukowej, jak o tym świadczy jego praca habilitacyjna, ogłoszona w roku 1927 pt. *Stała dielektryczna gazów skroplonych i zestalonych*. Warszawa 1927. Na podstawie tej pracy Wacław Werner uzyskał w roku 1928 *veniam legendi* – prawo wykładania na wyższych uczelniach – konkretnie, na wydziale elektrycznym Politechniki Warszawskiej.

Na Politechnice Warszawskiej wykładał następujące przedmioty (podano lata wykładów i wydziały Politechniki – brak danych za lata 1923–5):

- **Fizyka** 1916–25 Chemiczny, 1936–39 wraz z ćwiczeniami Inżynieria, 1937/8 ćwiczenia Elektryczny;
- **Wstęp do fizyki** 1925–29 Mechaniczny i Elektryczny;
- **Fizyka praktyczna** ćwiczenia od 1916, z wykładami 1918–21 Chemiczny, 1920/21 Budowy Maszyn i Elektrotechniki, 1925/6 Chemiczny;
- **Nauka o świetle i promieniowaniu** 1927/8 Elektryczny, 1928/9 Mechaniczny i Elektryczny;
- **Fizyka doświadczalna** 1928/9 Chemiczny, 1929-34 Elektryczny, 1936–39 Elektryczny, 1945–47 z ćwiczeniami, Chemiczny;
- **Pomiary fizyczne** 1929–31 Elektryczny, 1931/32 Mechaniczny i Elektryczny, 1932–35 Elektryczny;
- **Promieniowanie elektronowe** 1929–35 i 1936–39 Elektryczny;
- **Fizyka teoretyczna i promieniowanie elektronowe** 1935/6 Elektryczny.

Księga Pamiątkowa Politechniki Warszawskiej 1915–1925 na stronie 197 podaje:

„Od roku 1918 wprowadzony został przez dr Wacława Wernera jako nieobowiązkowy wykład fizyki praktycznej, najpierw dla wydziału Chemii, a następnie i dla wydziału Budowy Maszyn i Elektrotechniki"[4]. Na s. 530 tej *Księgi pamiątkowej* w spisie osobowym docentów i nauczycieli podano: „Wacław Werner dr Wstęp do fizyki. Fizyka praktyczna od 1918 do 1925 r. St. Asystent od 1915 r.

Ryc. 7. Wacław Werner w Holandii.

Ryc. 8. Wacław Werner.

1946 Kierownik Katedry Fizyki. Docent etatowy. W roku 1948 Rada Wydziału Chemicznego wystąpiła do Ministerstwa Oświaty o zamianowanie Wacława Wernera profesorem tytularnym"[4].

W archiwum Politechniki Warszawskiej znajduje się charakterystyka działalności doc. dr Wacława Wernera spisana przez prof. Tadeusza Wojno. Poza faktami wymienionymi w odpowiednich miejscach tego życiorysu, załączona jest taka charakterystyka: „Oddany nauce i nauczaniu, ma już teraz wiele zasług w dziejach fizyki w Polsce".

Okresy egzaminów studenckich były dla ojca zawsze okresami ciężkiej i wyczerpującej pracy. Wracał wtedy do domu późno i bywał bardzo zmęczony; w dzień kawa, w nocy proszki nasenne. Czasami przynosił z tej pracy jakieś dykteryjki.

W tym okresie życia Wacława, poza nauczaniem w szkole średniej i na Politechnice, pojawiło się jeszcze jedno pole działania: prace nad programami nauczania w szkołach średnich i tworzenie nowych podręczników, będących realizacją tych programów. Ta twórczość zaczęła się od członkostwa w Komisji Oceny Pomocy Szkolnych (do roku 1932, od kiedy – nie wiem). Później należał Wacław do Komisji Programowej nowego typu gimnazjum (chodzi chyba o tzw. reformę jędrzejewiczowską szkoły w Polsce). Po zatwierdzeniu programów fizyki przystąpił ojciec do pisania podręczników szkolnych. Jaka to była wielka robota, mogłem ocenić tylko cząstkowo na podstawie czasu, jaki ojciec poświęcał tej pracy w domu. Gdy zbliżał się koniec pracy nad kolejnym podręcznikiem, światło w jego gabinecie nie gasło do późnej nocy, albo i do rana.

Pierwsze dwa podręczniki pisał ojciec wspólnie z profesorem Stanisławem Malcem, moim nauczycielem fizyki z gimnazjum im. Stefana Batorego, nadzwyczaj miłym i skromnym Lwowiakiem. Następne podręczniki pisał już sam[5].

Poza działalnością podręcznikową trzeba wspomnieć też o artykułach naukowych i przede wszystkim dydaktycznych, jakie Wacław napisał[6].

W nowym własnoręcznym życiorysie wspomina Wacław o czynnym udziale w redagowaniu czasopism „Wektor" oraz „Fizyka i Chemia w Szkole". W pracach programowych dla fizyki szkolnej brał udział Wacław również w roku 1947, jak o tym świadczy pismo Ministerstwa Oświaty z dnia 14.11.1947 r. z podziękowaniem za ofiarną pracę. W tymże roku pisał również audycje z fizyki dla Polskiego Radia.

W latach trzydziestych opracował Memoriał Zarządu Głównego Zarządu Fizycznego w sprawie pracowni fizycznych w szkołach powszechnych i gimnazjach.

Zamykając rozdział o działalności naukowej Wacława, przytoczę garść jego wspomnień z pobytu w Holandii, którego głównym celem była praca naukowa. To są znów drobiazgi i wspomnienia osobiste.

– Gdy pierwszy raz przybył do Leiden, nauczono go jak ma pytać o drogę do politechniki. Miał to wymawiać w sposób jak najbardziej charczący:

Technisches Hoche Skuul. Gdy to wyrecytował policjantowi... ten nic nie zrozumiał, musiał mu to napisać.

- W Lejdzie poznał Wacław Holendra o nazwisku Veer Maersch, zafascynowanego Polską. Ojciec z życzliwym uśmiechem opowiadał, jak ten Holender deklamował Mickiewicza:
  O pieszni hminnah ti ahrko przimierzach...
- Kiedyś w tramwaju jechał Wacław zamyślony i pewnie zmęczony. Nagle spojrzał na ławkę w drugiej części wagonu po tej samej stronie i zobaczył człowieka, którego powierzchowność wydała mu się miła i sympatyczna. Gdy się jednak lepiej przypatrzył, stwierdził, że nie ma wcale drugiej części wagonu tramwajowego tylko jest lustro, w którym ogląda własne odbicie. Śmiał się z tej przygody i z siebie bardzo serdecznie i tam w wagonie i gdy nam to opowiadał.
- Wracając z Holandii przywoził nam ojciec cukierki holenderskie, coś w rodzaju irysów o nazwie „Hoppies", twarde i bardzo smaczne. Jakże się zdziwiłem, gdy teraz, bodaj w ubiegłym roku zostałem poczęstowany holenderskim cukierkiem w takim samym opakowaniu, o takim samym smaku – o ile pamięć smaku może przetrwać 60 lat. Tradycja.

Prace społeczne

Wacław był współzałożycielem Towarzystwa Fizycznego w 1919 r. wspólnie z kolegami: Marianem Grotowskim, Stanisławem Kalinowskim i Józefem Wierusz-Kowalskim. Towarzystwo Fizyczne przekształciło się w roku 1920 w Polskie Towarzystwo Fizyczne. W latach 1926–1929 był Wacław członkiem Zarządu Głównego PTF. Kadencja tego zarządu została przedłużona do 1930 roku. W latach 1930–1934 pełnił funkcję sekretarza PTF, a w latach 1934–1938 znów członka Zarządu Głównego. Stale był członkiem sekcji dydaktycznej, w której wygłaszał referaty. Uczęszczał na wszystkie Zjazdy Fizyków, organizowane przez PTF (są fotografie pamiątkowe z tych zjazdów w Wilnie, w Krakowie i w Warszawie). Do Krakowa na zjazd leciał samolotem pasażerskim, który w czasie lotu miał defekt i musiał lądować na polu pod Końskim. Ponieważ zjazd przeciągał się na dzień imienin ojca, wysłaliśmy depeszę do Krakowa: „drogi tatku, najlepszego, a nie wpadaj do końskiego".

W roku 1920 był Wacław, jako ochotnik Wojska Polskiego, organizatorem i pracownikiem pierwszej w Warszawie stacji meteorologicznej, pracującej dla potrzeb wojskowych na Polu Mokotowskim (lotnisko). Istnieje w archiwum rodzinnym zdjęcie, na którym pod ścianą budynku z napisem „Główna Stacja Wojskowa Meteorologiczna" siedzą czterej panowie: pierwszy z lewej to p. Wiesław Malinowski, fizyk, trzeci to ojciec, drugiego i czwartego w mundurze wojskowym nie znam.

Przez wiele lat był ojciec prezesem Koła Przyjaciół Harcerstwa przy 23. Warszawskiej Drużynie Harcerzy (przy gimnazjum Batorego), w której działali

obaj jego synowie. Był też prezesem KPH przy 14 Warszawskiej Drużynie Harcerek, gdzie drużynową była jego najstarsza córka. Z ramienia KPH odwiedzał obozy harcerskie, np. w Batorowie, w Kolanie (23 WDH), w Jordanowie i w Piekiełku (14 WŻDH) przywożąc zwykle kosz wiśni z Brwinowa i pudło „krówek". Harcerstwo było dla nas, dzieci Wacława, rzeczą wielką i głęboką, toteż włączenie się ojca w pracę KPH pogłębiało w sposób zasadniczy naszą więź z ojcem i miało niemałe znaczenie wychowawcze[7]. Ojciec odwiedzał też obóz Przysposobienia Wojskowego Kobiet, organizowany przez Główną Kwaterę Harcerek, którego uczestniczką była starsza córka.

Przemysłowiec

Przez wiele lat, jako jeden z głównych akcjonariuszy firmy Norblin, Bracia Buch i T. Werner był członkiem Rady Nadzorczej tej firmy. Udowodnić to mogę tylko dla roku 1939, gdyż z tego roku posiadam sprawozdanie dla Zebrania Akcjonariuszów. Ale wiem, że ojciec zajmował się sprawą nabycia przez firmę jakiegoś zakładu na prowincji, aby wydziały uciążliwe dla Warszawy można było do niego kolejno przenosić. W tej sprawie w latach 1920-tych jeździł ojciec kilkakrotnie do Sanoka, gdzie pertaktował o nabycie zakładu na filię Norblina. Akcja ta nie dała jednak rezultatu i ostatecznie nabyto zakład w Głownie koło Łodzi.

Pamiętam, że któregoś roku w okresie kryzysu gospodarczego w latach trzydziestych była w domu mowa o tym, że dywidendy nie będzie. Jako chłopak kilkunastoletni daleki byłem wtedy od przykładania wagi do tego rodzaju spraw. Po latach sprawa ta wróciła do mnie w sposób zupełnie niespodziewany. Oto ciotka mojej żony p. Laura Masternakowa w latach po drugiej wojnie światowej była w Głownie w jakichś swoich sprawach. Z dworca wzięła dorożkę i po drodze pytała dorożkarza czy zna zakłady Norblina. Okazało się, że dorożkarz był wieloletnim pracownikiem Norblina w Warszawie, później w Głownie i dopiero po wojnie został dorożkarzem. Pytała go więc ciotka dalej, czy znał profesora Wacława Wernera. Jego odpowiedź była mniej więcej tej treści:

> „Takiego człowieka się nie zapomina. Byłem raz na zebraniu załogi z dyrekcją. Objaśniono nas, że wyniki tego roku w fabryce są tak marne z punktu widzenia finansowego (pogłębiający się kryzys), że nie ma z czego wypłacić załodze trzynastej pensji. Wtedy wstał profesor Werner i powiedział, że jednak będzie trzynastka, bo on na ten cel zrzeka się swojej dywidendy."

Tyle dorożkarz z Głowna. Nie znam nawet jego nazwiska i adresu. Dla mnie, jeśli coś było dziwne w tej relacji, to fakt, że ojciec brał udział w zebraniu załogi. W fabryce bywał okazjonalnie. Sam fakt zrzeczenia się dywidendy nie zdziwił mnie. To pasowało do stylu ojca. Niestety, ostatnia wojna zniszczyła wszystkie archiwa Norblina. Pozostaje wierzyć, albo nie, dorożkarzowi z Głowna.

Kiedyś w mojej pracy spotkałem inżyniera Witolda Wernera. Opowiadał mi, że poznał ojca na egzaminie. Gdy ojciec wziął jego indeks, zdziwił się, znajdując w nim swoje nazwisko i imię swego starszego syna. Później kolega pracował w Głownie w naszej firmie. Przy jakiejś wizycie w filii, poznał ojciec swego dawnego studenta i wdał się z nim w rozmowę. Inni pracownicy Norblina nie chcieli wierzyć, że obaj Wernerowie poszukiwali przy okazji spotkania egzaminacyjnego powiązań genealogicznych, ale bez skutku. Niemniej ta rozmowa w Głownie bardzo koledze pomogła w ułożeniu sobie stosunków w fabryce.

W roku 1945 towarzyszyłem ojcu w wyprawie do Głowna, gdzie zbierała się dyrekcja Norblina, aby podjąć decyzje o losie tego, co z zakładów Norblina po wojnie ocalało. Dyrekcja przekonała ojca, że skoro zakłady zostały upaństwowione, byli akcjonariusze nie mają już nic do powiedzenia.

Obywatel

W odrodzonej po pierwszej wojnie światowej Polsce były szkoły średnie zarówno państwowe, jak i prywatne. Państwowe były lepsze, miały większe możliwości zdobycia odpowiednich lokali, zaangażowania lepszych nauczycieli. Były też tańsze od prywatnych, toteż run na szkoły państwowe był ogromny. Ojciec uważał, że dla dobra dzieci będzie się starał umieścić jej w szkołach państwowych. Jednakże, jako dobrze sytuowany uważał, że nie ma do tego prawa; gorzej sytuowani powinni korzystać z tańszych szkół. Aby z tego dylematu wybrnąć, postanowił ojciec za każde swoje dziecko, zapisane do szkoły państwowej ufundować stypendium dla zdolnego ucznia, nie mającego środków na naukę. I tym nie chwalił się ojciec przed nami, ale przy jakimś moim opuszczeniu się w nauce, ojciec przedstawił mi sprawę i zawstydził. Pomogło.

Od 1913 roku zatrudniał ojciec ogrodnika w Brwinowie, p. Zielińskiego, który mieszkał w małym domku, dziś rozebranym, z żoną i pilnował domu pod nieobecność rodziców. Gdy ogrodnik zestarzał się, wyprowadził się do rodziny do Pruszkowa, ale ojciec wypłacał mu emeryturę, chociaż nie był do tego zobowiązany żadnym przepisem.

Jakie były poglądy polityczne mego ojca? Za młodu był socjalistą. Później lubił cytować takie zdanie: „Kto przed 25 rokiem życia nie był socjalistą, wykazał brak serca. Ale kto po 25 roku życia był jeszcze socjalistą, wykazał brak rozumu". Miał poglądy prawicowe, ale – o ile wiem – do żadnej partii, ani organizacji politycznej nie należał. Czytał Stary Testament i twierdził, że czyni to nie dla poszukiwania w nim prawdy o życiu, ale, że uczy się z niego charakteru narodu żydowskiego. Przyjaźnił się i współpracował z Polakami pochodzenia żydowskiego, jak np. z profesorem Ludwikiem Wertensteinem, o czym jeszcze będzie dalej.

Był religijny. Chodził z nami co jakiś czas do kościoła ewangelicko-reformowanego na Leszno, prenumerował „Jednotę". Przy okazji jakiejś rozmowy na temat różnic pomiędzy Kościołami Katolickim i Ewangelickim, przyznawał, że gdy uczestniczył we mszy katolickiej, brak mu było prostoty i surowości liturgii

ewangelickiej, ale gdy był w swoim reformowanym kościele, było mu w nim „zimno" i brak tego uwielbienia kobiecości, jaki widział w kulcie Maryi Panny.

Ojciec

W rodzinie Wernerów nie było zwyczaju ujawniania na codzień swoich uczuć, zwłaszcza tych głębszych i silniejszych. Jednak brak czułostkowości nie wykluczał serdeczności. Całe życie Wacława po urodzeniu się dzieci, a już w szczególności po śmierci żony było ukierunkowane troską o dzieci, obserwował ich rozwój, znał ich skłonności i kłopoty, umiał zawsze doradzić w kłopotach dziecinnych, młodzieżowych i nawet „dorosłych". Ojca uwielbialiśmy, ale to nie był „kumpel", jak często dzisiejsi ojcowie. Jak się miało do ojca interes, to wchodziło się cichutko do gabinetu, gdzie pracował, stawało się przy drzwiach i czekało. Dopiero jak odezwał się, zapytał o co chodzi, to się do niego podchodziło, całowało w rękę i dopiero mówiło się o co chodzi. Wychowywał więcej przykładem, niż kazaniem i reprymendą. Gdy chciał zwrócić uwagę dziecku na jakieś jego niewłaściwe zachowanie, czynił to w cztery oczy i w sposób spokojny i rzeczowy. Uczył nas skromności, ustrzegł od snobizmu. Gdy odbywałem praktykę studencką u Norblina, koleżanki mojej przyszłej teściowej, pracowniczki Norblina pytały, czy pan profesor nie mógłby lepiej ubierać swego syna. Inny pracownik pytał mnie ile mamy w rodzinie samochodów. A gdy mu powiedziałem że nie mamy żadnego, nie mógł uwierzyć. Gdy w naszych szkołach były zbiórki na jakieś godziwe cele, potrafił być hojny, ale na nasze utrzymanie wydzielał stryjence Schuchowej tyle, żeby starczało na zwyczajne, zdrowe pożywienie, bez żadnych luksusów.

Wyrabiał w nas wrażliwość na piękno, uczył obcować ze sztuką. Opery nie lubił, to raczej babcia Schuchowa prowadziła nas do Teatru Wielkiego. Ale chodził z nami na koncerty i na wystawy obrazów do Zachęty, a także do teatru na wartościowe sztuki. Kompletował fotografie światowej sławy rzeźb i obrazów (czarno-białe, kolorowych wtedy nie było). Wspólne oglądanie tych zbiorów albo albumów malarstwa było dla nas zawsze dużym przeżyciem.

Na pobyt w Holandii zabrał ojciec za sobą trzy książki: *Pismo Święte*, *Pana Tadeusza*, *Słówka* Boya.

Na imieniny, urodziny i gwiazdkę dostawaliśmy zawsze od ojca prezenty. Kiedyś przez cały rok nie dostawaliśmy prezentów, tylko kwitki na „niespodziankę". Tą niespodzianką był prawdziwy, chociaż dość prymitywny mikroskop. Z moich prezentów pamiętam budownictwo metalowe, mały silnik elektryczny, model maszyny parowej (chodzący) lub zestaw przyrządów do pokazów z elektrostatyki.

Pamiętam dzień wyboru pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej Gabriela Naturowicza. Staliśmy na Krakowskim Przedmieściu, gdzieś koło Karowej. Nagle podniósł się szum: jedzie, jedzie. Ojciec wziął mnie na ramię, żebym coś zobaczył. Ujrzałem szwadron przyboczny ułanów przed i za powozem, w którym jechał

prezydent. Gdy przejechał, odwróciłem się do ojca. Miał łzy w oczach. Tego się nie zapomina.

Wakacje organizował ojciec głównie z punktu widzenia zdrowia dzieci. Gdy lekarz radził morze, pojechaliśmy do Kuźnic na Helu (z wycieczką żaglową łodzią do Gdyni i pociągiem do Pucka), gdy potrzebne były kąpiele i inhalacje solne, pojechaliśmy do Ciechocinka, a gdy najlepszy miał być Truskawiec, pojechaliśmy tam, zwiedzając przy okazji Lwów, Jaremcze, Worochtę, robiąc wycieczkę na szczyt Kukul. Ojciec organizował również wycieczki nie związane z pobytem wakacyjnym. Moją pierwszą prawdziwą wycieczką był marsz z Brwinowa do Nadarzyna lasami Młochowskimi. Kilkudniową wycieczkę do Wdzydz kaszubskich odbyliśmy z przyjacielem ojca, fizykiem, panem Wiesławem Malinowskim. Jedne wakacje, chyba to był rok 1927, spędziliśmy w Zakopanem, w willi prof. Stanisława Szobera, w pensjonacie prowadzonym przez panią Halińcię Szoberównę, daleką kuzynkę i przyjaciółkę matki. Ojciec nazywał willę Szobera „Łzy dziecięce", gdyż podobno postawiona była za pieniądze uzyskane z *Gramatyki Polskiej* Szobera, która niejedną łzę wycisnęła z dziecięcych oczu. Odbyliśmy piękną, trzydniową wycieczkę przez Halę Gąsienicową, Zawrat, Dolinę Pięciu Stawów, Świstówkę i Morskie Oko. Wszędzie chodziliśmy we czwórkę. Tylko do Doliny Olczyskiej, miejsca zaręczyn, poszedł ojciec sam.

Oprócz wspólnych wyjazdów na wakacje, które trwały aż do okresu, gdy zaczęliśmy jeździć na obozy harcerskie, od czasu śmierci matki każde ferie świąteczne spędzaliśmy z ojcem u jego uwielbianej siostry Marii Meisnerowej w Podlodowie. Wszystkie wspólne wyjazdy łączyły nas bardzo, dając możność obcowania z sobą „non stop", w Warszawie z powodu pracy ojca i naszej nauki było to niemożliwe.

Drugie małżeństwo

W latach dwudziestych poznał się ojciec panią Jadwigę Orłowską (z domu Zalewską). Słuchała jego wykładów, zdawała u niego egzamin z fizyki. Była nauczycielką przyrody i jednocześnie robiła doktorat z zoologii. Około roku 1933 Jadwiga rozeszła się z mężem, z którym od kilku lat żyła w separacji i zmieniwszy wyznanie na ewangelicko-reformowane wyszła za mego ojca w 1934 roku. Niewątpliwie ojciec opóźniał ten akt, oczekując dorosłości swych dzieci. Jego wdowieństwo trwało 16 lat. Gdy zapadła decyzja powtórnego małżeństwa ojciec zebrał wszystkie swoje dzieci, wyjawił im swoje plany małżeństwa i prosił o wypowiedzenie się na ten temat. Wszyscy wyrazili zgodę, choć z różnym stopniem okazywanej radości. Zresztą w krótkim czasie starsza siostra i starszy brat opuścili dom rodzinny i założyli własne rodziny. W domu stosunki między Jadwigą i stryjenką Schuchową psuły się szybko. Stryjenka postanowiła wyprowadzić się i zamieszkała w Podkowie Leśnej. Ojciec wyznaczył jej dożywocie. Proponowałem, że w imię wdzięczności za tyle lat opieki (1918–1935) zamieszkam razem ze

stryjenką, ale ojciec się na to nie zgodził. Niedługo po ślubie ojca powstała myśl, aby przenieść się znów do Brwinowa.

Odnowienie Brwinowa

Aby dom przy Słonecznej nadawał się na mieszkanie, trzeba go było dość gruntownie odrestaurować. Na parterze podłogi były przez dziatwę szkolną zdarte prawie doszczętnie. Zostały więc położone parkiety na całym parterze. Kwietnik w niszy w stołowym pokoju został obniżony do poziomu pokoju. Duży pokój na górze został podzielony na dwa mniejsze, a przejście między dawnym dziecinnym pokojem, a sypialnią rodziców i dwoma drzwiami – zamienione na pojedyncze drzwi. Stolarka i ściany zostały odmalowane. Założono porządną instalację elektryczną z wykorzystaniem rurek, założonych przy budowie domu. Zainstalowano silnik elektryczny do pompy wodnej. Prace renowacyjne prowadził inżynier T. Michotek (przedtem Hirszfeld, przyjaciel Tadeusza Schucha). Inżynier Bogusławski zaprojektował, a firma Kamler wykonała nowe meble do pokoju stołowego (modrzew i dąb), kącik na piętrze i biureczko dla młodszej siostry, Marysi. Odnowiono stare meble rodzinne i umeblowano nimi salon. Gdy wszystko było gotowe, przenieśliśmy się do Brwinowa. Właśnie zelektryfikowano kolej z Warszawy do Żyrardowa, co znacznie usprawniło komunikację z Warszawą. Zamieszkał z nami wnuk siostry ojca, Tadek Niedzielski. I on i ja studiowaliśmy na Politechnice Warszawskiej.

Gdy po pierwszej zimie kucharka i służąca narzekały, że ich pokój jest bardzo zimny, kazał ojciec w tym pokoju położyć drugą podłogę, oddzieloną od pierwszej izolacją cieplną.

Jadwiga prowadziła dom na skalę wyższą od tej, do jakiej byliśmy przyzwyczajeni. Jedna niedziela w miesiącu była zarezerwowana dla gości. Zjeżdżało się nieraz po 20 osób. Młodzież bawiła się najchętniej w chińskie cienie. Bywały też młodzieżowe zabawy taneczne. No cóż, dom otwarty w dawnym stylu.

Jadwiga była zapaloną wodniaczką. Gdy została żoną mojego ojca, wciągnęła go w ten wspaniały styl odpoczywania. Jedną z pierwszych swych wypraw odbyli łódką, którą nabyli od rybaka nazwiskiem Rybek z pośrednictwem handlarza, nazwiskiem Mendel. Na tę pamiątkę nazwali łódź „Mendelrybek". Wyprawa odbywała się na Dniestrze. W późniejszych latach organizował ojciec wakacje z żoną zagranicą. Ostatnią chyba wyprawą był pobyt w Jugosławii na wysepce na Adriatyku. Przeprowadzali tam co kilka dni kurację, polegającą na odżywianiu się przez cały dzień tylko owocami. Wcześniejsze wyprawy, to był pobyt nad Atlantykiem we Francji, chyba w Normandii.

Ojciec utrzymywał sporo rozmaitych przyjaźni. Trzeba by tu na początek wspomnieć Panią Irenę Wasiutyńską i pana chyba Wiesława Malinowskiego z Grudziądza, a także pana Ludwika Wertensteina. Cieszył się też przyjaźnią znanego podróżnika (wyprawa na Antarktydę na statku „Belgica"), A.B. Dobrowolskiego.

Okupacja hitlerowska

Ojciec znał Niemców, naród muzyków i filozofów. Kiedy zorientował się, że Niemcy wkraczający do Polski w 1939 roku to byli zupełnie inni Niemcy? Chyba zrozumiał to bardzo prędko. Gdy tylko Niemcy zajęli Brwinów, zaraz zarekwirowali parter naszego domu na kwaterę. Oficerowie kilkakrotnie wdawali się w rozmowy polityczne z ojcem. „Uparliście się i nie chcieliście oddać niemieckiego przecież Gdańska, a teraz musieliście oddać wszystko".

– Tak, potwierdził ojciec. Gdańsk był miastem prawie zupełnie zniemczonym. Ale nam był potrzebny do życia. Na tym dyskusja urwała się. Z powodu dobrej znajomości niemieckiego „Herr Profesor" był kilkakrotnie proszony o tłumaczenie rozmów z Polakami nie znającymi tego języka.

W pierwszych miesiącach okupacji – jak o tym wspominała Jadwiga – zgłosił się do Wacława Wernera jeden z urzędników gminy Brwinów i zaczął namawiać go do zapisania się na Volkslistę, czyli do starania się o status volksdeutscha. Ojciec wpadł w taki gniew, że niemal dosłownie zrzucił gościa ze schodów. Przez kilka dni ojciec i macocha, jedyni znający sprawę, oczekiwali z obawą konsekwencji tego kroku, ale jakoś nic nie nastąpiło.

Jaki był stosunek ojca do jego niemieckiego pochodzenia? Nie ukrywał go, ani się go nie wstydził, ale choć rzadko manifestował to w słowach, czuł się stuprocentowym Polakiem. Śmiał się czasem z jakiejś swojej ciotki, która na codzień mówiła po polsku, ale gdy konie zaprzężone do bryczki, którą jechała, poniosły, zaczęła kląć na nie ... po niemiecku. Uwielbiała polski folklor i podobno lubiła nucić:

Sind wir aber
Solche, welche, solche, welche, solche, welche
Buben krakowiaken?

Co oczywiście miało znaczyć:

Albośmy to jacy, tacy, jacy, tacy, jacy, tacy,
chłopcy Krakowiacy?

Gdyby ojciec miał jakiekolwiek wątpliwości co do swojej narodowości, nie postąpiłby tak z gościem, kuszącym go Volkslistą i nie podśmiewałby się z przodków, którzy żyli jeszcze na pograniczu niemieckości i polskości. Ale nie tylko to, cały okres okupacji w naszym domu przebiegał pod znakiem służby Polsce, choć się o tym nie mówiło. Na potwierdzenie tych słów przytoczę jeszcze dosyć wspomnień i dowodów[8].

Zajęcia na politechnice oczywiście ustały z chwilą jej likwidacji przez władze niemieckie. Z początku też ustały lekcje w gimnazjum i liceum p. Tymińskiej, ale bardzo prędko doszło do samorzutnej organizacji tajnego nauczania na kompletach, w domach prywatnych. Było to i niebezpieczne i mało wydajne, jeśli chodzi o wykorzystanie czasu nauczycieli, bo ze względów bezpieczeństwa nie można

było zgromadzić więcej niż kilkoro uczniów. Za to młodzież rozumiała, że lekcje są jej udziałem w walce o wolność i przykładała się na ogół bardzo solidnie do nauki. Ojciec był nauczycielem fizyki na kompletach i w Warszawie i w Brwinowie. Nie umiem jednak udokumentować zakresu tej pracy. W szkołach odbywały się też kursy przysposobienia do szkół zawodowych II stopnia, które były przykrywką nauki w zakresie liceum. Takie kursy miało np. gimnazjum p. Tymińskiej przy ulicy Królewskiej i ojciec uczył tam fizyki. Gdy na początku okupacji hitlerowskiej powstała myśl zorganizowania w Brwinowie punktu pomocy społecznej pod egidą uznawanej przez okupanta Rady Głównej Opiekuńczej, zaproszono ojca na zebranie organizacyjne. Nie tylko zgłosił się do pracy, ale też nie odmówił stanowiska prezesa delegatury RGO w Brwinowie, gdy mu je zaproponowano. Pełnił tę funkcję przez cały czas okupacji hitlerowskiej, a później po przekształceniu delegatury RGO na Gminny Komitet Pomocy Społecznej, również w jego pracach uczestniczył. Praca delegatury RGO szła głównie w dwu kierunkach. Pierwszym i najważniejszym było prowadzenie kuchni dla ludzi nie mających środków do życia. Kuchnia i jej magazyny były pomieszczone w Maryninku, gdzie dziś osiedle Maryninek. Kuchnię prowadziły siostry Urszulanki, wyrzucone z Poznańskiego, chyba z Pniew, które na czas wojny zamieszkały w Brwinowie. W komitecie działali znani obywatele Brwinowa, rozmaitych fachów, rozmaitych przekonań politycznych. Wszystkich łączyła jedna myśl: ratowania ludzi, ofiar wojny od głodu i bezdomności. Pamiętam p. Chromika, nauczyciela, p. Fersterowskiego, stolarza, znanego ze swych komunistycznych poglądów, p. Laskiego, p. Kuleszynę (Marię), księdza Górnego, proboszcza brwinowskiego.

Drugim kierunkiem prac RGO było wyszukiwanie dachu nad głową dla wysiedlonych, nie mających się gdzie podziać. Ta akcja miała z natury mniejsze możliwości. Współpracowano z wójtami sąsiednich wsi dla uzyskania zgody na zakwaterowanie we wsiach, wykorzystywano opuszczone domy w porozumieniu z władzami gminnymi.

Żywność dla kuchni pochodziła z przydziałów uzyskiwanych przez Główną Radę Opiekuńczą w Krakowie, z darów dworów i gospodarzy indywidualnych, ze zbiórek i datków.

Jak oceniona została praca RGO przez nadrzędny Komitet powiatowy, niech zaświadczy list, który w całości odpisuję z posiadanego oryginału:

„Polski Komitet Opiekuńczy Sochaczew-Błonie, Okręg Grodzisk-Żyrardów.

Milanówek, dn. 12 lutego 1945 r.

Wielmożny Pan Prof. Wacław Werner Przewodniczący Delegatury Pol.K.O. w Brwinowie

Na skutek przejmowania agend RGO przez Centralny Komitet Opieki Społecznej – Delegatury nasze przekształcają się w Gminne Komitety Opieki Społecznej i jako instytucje podległe RGO przestają istnieć.

Jeśli uprzytomnimy sobie prace Pol.K.O. powiatu Sochaczew-Błonie dokonane na naszym terenie od czasu istnienia Komitetu, to z przyjemnością i bez chwalby musimy stwierdzić, że zarówno pod względem organizacyjnym, przez dobre funkcjonowanie aparatu administracyjnego, jak i przez zasięg prac opiekuńczych, wybiliśmy się w tym zakresie na jedno z pierwszych miejsc w kraju. Publiczne pochwały, jakie nas spotykały, były miarą oceny działalności Komitetu, jako wyraz uznania dla wszechstronności naszych wysiłków. Kuchnie nasze dzięki ofiarności społeczeństwa nie przerwały działalności swojej dla braku przydziałów urzędowych, akcja kolonii i półkolonii rozwijała się jak najlepiej, powstawały ochronki i świetlice, staraliśmy się ratować dzieci i otoczyć opieką młode pokolenie przez pomoc dawaną zakładom zamkniętym – słowem, jako jedyna polska instytucja staraliśmy się ulżyć doli najbardziej w tej wojnie pokrzywdzonej ludności Polski.
Pan Prezes, jako przewodniczący Delegatury, w tej wielkiej akcji samopomocy społecznej stał na czele prac opiekuńczych, to też, kiedy zamykamy ten okres, poczuwamy się do obowiązku podziękować Mu najserdeczniej za poniesione tak ofiarne trudy w tej nadziei, że i nadal będzie z nami współpracował w akcji charytatywnej.

Zechce Pan Prezes przyjąć zapewnienie naszego pełnego szacunku

Prezes: (–) Dr I. Świętochowski
Kierownik Biura (–) J. Kawecki"

Dom nasz w czasie okupacji był niemal zawsze pełen. Zaczęło się to już we wrześniu 1939 roku, gdy dzieci z najbliższej rodziny warszawskiej, między innymi moją przyszłą żonę, przywieziono do nas, aby je uchronić przed makabrą oblężenia miasta, której się spodziewano. W dalszych latach często pojawiał się w domu ktoś obcy. Otrzymywaliśmy wskazówki od ojca, lub macochy, żeby tego gościa traktować rodzinnie, nazywać wujkiem lub ciocią i o nic nie pytać, a przede wszystkim nigdzie nie opowiadać o istnieniu takich osób. Można się było tylko domyślać, że to albo ktoś z konspiracji, któremu w Warszawie grunt palił się już pod nogami, lub ktoś potrzebujący po przeżyciach konspiracyjnych odetchnąć atmosferą względnego spokoju, bezpieczeństwa i życzliwości. Bywali wśród nich niewątpliwie ludzie pochodzenia żydowskiego, był też podobno wysłannik londyńskiego Rządu.

Spośród gości utkwiła mi w pamięci charakterystyczna, znana mi jeszcze sprzed wojny sylwetka profesora Ludwika Wertensteina, fizyka. Zamieszkał on w niedalekim Turczynku i przychodził wielokrotnie do ojca, z którym prowadził długie rozmowy. Później znikł z naszego horyzontu. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, co było przedmiotem tych narad. Oto profesor Wertenstein uzyskał od ojca zgodę na ukrycie w naszym domu preparatu radowego, będącego własnością Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Chciał ten preparat zabezpieczyć

przed dostaniem się w ręce okupanta lepiej, niż mógł to uczynić w swoim domu. Sam się przecież ukrywał. Jego dość wyraźnie semicka twarz nie dawała żadnych gwarancji bezpieczeństwa. Preparat został zamknięty w ołowianej cegle i po cichu wmurowany (a nie zakopany, jak błędnie podaje protokół oddania) w ścianę naszego domu w piwnicy. Oprócz ojca do tajemnicy dopuszczona była tylko jego żona. Oni dwoje dźwigali ciężar tej tajemnicy, mając świadomość, jak tragicznie mogłoby się skończyć dla całej rodziny, gdyby dowiedziały się o tym władze okupacyjne. Po wojnie zarząd Towarzystwa Naukowego Warszawskiego nawiązał z ojcem kontakt korespondencyjny i przysłał delegację, która wyjęła i zabrała preparat oraz inne zdeponowane przedmioty, pozostawiając pokwitowanie. List Towarzystwa i owo pokwitowanie są w moich rękach. Przytaczam tu treść tych dokumentów:

„Societas Scientiari Varsoviensis Towarzystwo Naukowe Warszawskie Śniadeckich 8. Biuro – Krakowskie Przedmieście 26 (Uniwersytet) Warszawa, dnia 25.III.1947, Pan Dr W. Werner, Słoneczna 3, Brwinów.

W. Szanowny Panie Doktorze – dopiero dzisiaj odpowiadam na pańskie pismo z 23 lutego rb., w sprawie bowiem depozytu śp. profesora Wertensteina musiałem porozumieć się z Zarządem TNW, który o Pańskiej rozmowie z prof. Hryniewieckim (zresztą członkiem Zarządu) nie był powiadomiony.
Zarząd polecił mi wyrazić Panu głęboką wdzięczność za przechowanie resztek naszego cennego mienia i upoważnił do załatwienia tej sprawy. Zgodnie z tym proszę uprzejmie o wydanie preparatu radowego, tygielka platynowego, pudełka i dwu książek asystentowi Zb. Daszkowskiemu, któremu towarzyszy woźny K. Poraziński.

Z prawdziwym poważaniem

Sekretarz Generalny
(–) Prof. J. Krzyżanowski"

I drugi dokument:

„Oryginał Brwinów, dnia 2 kwietnia 1947 r.

Protokół

Dnia 2 kwietnia 1947 r. o godzinie 10 w obecności pana doktora Wacława Wernera i panny Marii Wernerówny odkopana została przez asystenta Zbigniewa Daszkowskiego i woźnego Karola Porazińskiego, wydelegowanych przez Sekretarza Generalnego Warszawskiego Towarzystwa Naukowego w piwnicy domu pana dr Wernera metalowa cegiełka z czterema zaparafinowanymi otworami, w której, według zapewnienia śp. profesora Wertensteina

– znajduje się preparat radu, będący własnością Towarzystwa Naukowego Warszawskiego.
Asystent Zbigniew Daszkowski i woźny Karol Poraziński przyjęli od pana dr Wernera do odwiezienia następujące przedmioty znajdujące się w depozycie u p. dr Wernera, będące własnością Towarzystwa Naukowego Warszawskiego:
1. wyżej wymienioną metalową cegiełkę z preparatem radu
2. tygielek platynowy
3. pudełko z drobnymi przedmiotami
4. dwie książki:
a) Isaac Newton's Optik. Leipzig 1898, dwa woluminy
b) Rutherford [napisano n zamiast r] Ernest. Radiations. Cambridge, 1930.

(–) Zbigniew Daszkowski (–) Poraziński Karol (–) W. Werner
(–) Maria Werner"

Podpis ojca na tym dokumencie jest ledwo czytelny. Musiał ojciec wtedy niewiele już widzieć.

Sprawa była opisana w „Problemach" nr 2/65 str. 78–82, w artykule poświęconym pamięci prof. Wertensteina, napisanym przez dr J. Strońskiego oraz w nie wydanej dotychczas pracy Zygmunta Wituńskiego pt. *Przyczynki do dziejów Brwinowa* (z wykorzystaniem materiałów prof. Elwertowskiego, prof. Hermana i p. dyr. Zymmera).

W okresach, gdy parter naszego domu nie był zajęty przez żaden oddział feldgrau, służył on najrozmaitszym celom konspiracyjnym. Co jakiś czas ojciec prosił, żeby danego dnia znaleźć sobie zajęcia poza domem i nie wracać przed wyznaczoną godziną. Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że lokal wykorzystywano do szkolenia wojskowego w jakiejś organizacji bojowej.

Kilka razy organizowano u nas odprawy hufcowych i instruktorek harcerskich Warszawskiej Chorągwi Harcerek. Nocleg na miejscu pozwalał na przeciąganie odprawy poza godzinę policyjną, na wspólny posiłek i odprężenie. Była też całonocna odprawa instruktorów harcerskich chorągwi mazowieckiej.

Przy pomocy urzędniczek z gminy zameldowano u nas w domu szereg osób „spalonych" w Warszawie, korzystając z fałszywych dokumentów. Dotyczy to m.in. „Długiego" z batalionu „Zośka".

Jakżeby polski dom w Generalnej Gubernii mógł obyć się bez prasy podziemnej? Sprawa zaczęła się już na jesieni 1939 roku. Już wtedy docierały do nas komunikaty z nasłuchów radia zachodniego, pisane najpierw na maszynie, później powielane, aż wreszcie drukowane. Czytanie tej prasy było w naszym domu codziennym pokarmem, a jej zdobywanie i, po przeczytaniu, kolportowane dalej – codziennym obowiązkiem. Skąd się gazetki pojawiały, oczywiście nie wiedziałem, ale było ich coraz więcej, coraz bardziej zróżnicowane co do kręgu odbiorców, co do politycznego nastawienia, co do poruszanej tematyki. Pojawił się Biuletyn Informacyjny, który lubiliśmy i ceniliśmy za rzeczowość informacji, za takt

i kulturę w poruszaniu zagadnień trudnych i kontrowersyjnych, za regularność, za mądry patriotyzm. Po wojnie dopiero dowiedzieliśmy się, że redaktorem Biuletynu był harcmistrz Aleksander Kamiński, znany mi z wyprawy na Jamboree do Anglii w 1929 roku.

Kto nie przeżył okupacji hitlerowskiej w kraju, temu trudno zrozumieć czym była dla Polaków w tym strasznym okresie prasa podziemna. Codzienne wiadomości o sytuacji na frontach, o bombardowaniu Niemiec, pozwalały, szczególnie w drugiej części wojny, po Stalingradzie, łatwiej znosić makabryczne przeżycia codzienności okupacyjnej, bo wiadomości budziły nadzieję na koniec wojny. Trzeba było i warto było, kolportując prasę podziemną, narażać się choćby na Oświęcim.

Wacław, a przede wszystkim Jadwiga, mieli w Warszawie mnóstwo kontaktów, czy to związanych ze szkolnictwem konspiracyjnym, czy to w innych kołach. W ciągu krótkiego czasu nasz dom stał się w Brwinowie punktem wymiany i rozdziału prasy podziemnej różnych kierunków politycznych.

Na okupacyjny brak rozrywek i przeżyć kulturalnych znalazł ojciec prosty sposób. Otóż wieczorami zaczął gromadzić domowników na głośne czytanie. Jedną z pierwszych lektur było *Na skalnym Podhalu* Tetmajera. Potem zaczęliśmy czytać na głosy sztuki teatralne. Były to głównie sztuki Moliera i Shakespeare'a. Na tych wieczornych czytaniach uczyłem się lubić i rozumieć Shakespeare'a.

Powstanie Warszawskie przeżyłem na Żoliborzu, a ojciec z żoną, starszą córką i synową z dziećmi oraz młodszą córką – w Brwinowie. Nasłuchiwali wieści z Warszawy, wieczorami wychodzili do ogrodu obserwować łuny nad stolicą. Już od połowy sierpnia zaczęli się w naszym domu pojawiać pierwsi uchodźcy z Warszawy, z dzielnic zdobywanych przez Niemców. Gdy pojawiła się siostrzenica Jadwigi, Hania Pyżykowska, pierwsze pytanie ojca było: „Czy wiesz coś o Staśku?".

W domu stacjonował oddział Węgrów, którzy zachowywali się raczej przyzwoicie. A dom był coraz pełniejszy. Ewakuowani Warszawiacy różnymi drogami docierali do Brwinowa i trafiali też do naszego domu. Najczęściej była to droga przez obóz w Pruszkowie. Taką drogą i ja trafiłem do domu. Inni „urywali się" z konwojów prowadzonych do Pruszkowa, a z Pruszkowa najczęściej do Rzeszy na roboty. Kto się w domu pojawił, dostawał łyżkę strawy, kąt i opiekę do czasu, aż się jakoś w nowych warunkach urządzi. Ile osób przewinęło się wtedy przez nasz dom? Nikt statystyki nie prowadził, ale sądząc po ilości ludzi, gromadzących się na posiłkach i ich rotacji, bez trudu zliczyłoby się setkę, albo i więcej. W październiku zaczęło się już przerzedzać. Wpłynęły na to również łapanki Warszawiaków na roboty do Niemiec. Pamiętam kilkakrotne chowanie się przed łapanką, raz w piwnicy, raz w zaroślach.

Po upadku Powstania gazetki były już rzadkością. Ale były. Strzały z wielkiego działa kolejowego, stacjonującego w Pruszkowie przypominały nam kilka razy dziennie, że linia frontu jest tuż tuż, na Wiśle. Nie ustawała nauka na kompletach i praca społeczna. Siostra Więckowska uczyła geografii, Jadwiga – biologii, ojciec

– fizyki. Praca społeczna obejmowała teraz głównie pomoc w szpitalu przepełnionym rannymi Warszawiakami. Jadwiga pełniła też funkcję wizytatora kompletów tajnego nauczania.

W roku 1942 rodzina nasza poniosła ogromną stratę. Zmarł nagle najstarszy syn ojca, Witold. Był w tym czasie administratorem majątku Regów nad Wisłą, w pobliżu Wysokiego Koła. Umarł w drodze do szpitala na skręt kiszek, którego nabawił się prawdopodobnie, pomagając służbie folwarcznej w przestawianiu ciężkich żłobów. Zostawił żonę i maleńkiego, synka Tadeusza. Ojciec bardzo mocno przeżył tę śmierć syna, którego bardzo kochał. Zresztą kochali go wszyscy, którzy go lepiej znali. Wdowa z maleńkim synkiem zamieszkała w naszym domu.

Jeszcze w czasie okupacji zaczął ojciec pisać *Fizykę dla wszystkich*, pomyślaną jako popularny wykład fizyki dla samouków, słuchaczy uniwersytetów ludowych, uniwersytetów robotniczych, kursów dla dorosłych. Tak pomyślana książka była zupełną nowością na polskim rynku wydawniczym. Brak takiej pozycji odczuwał każdy, kto nie miał za sobą szkolnego kursu fizyki, lub wyparowała mu ona z głowy, a podręczniki specjalistyczne były dla niego za trudne. Życiowe przykłady, proste doświadczenia, które można wykonać samemu sprawiały, że dla zainteresowanych książka ta była ciekawym i skutecznym przewodnikiem po krainie fizyki.

Pierwszą książkę *O siłach i ruchach* wydrukowała Książnica Atlas Wrocław-Warszawa. Rękopis dostarczony w marcu 1949 r. wydano w październiku 1949 r.

Książka druga: *Własności mechaniczne materii*. Rękopis dostarczono we wrześniu 1948 r., wydało to samo wydawnictwo w maju 1949 r.

Trzecia książka: *Nauka o cieple*. Rękopis dostarczono we wrześniu 1948 r. To samo wydawnictwo wydało w lipcu 1949 r.

Czwartą książką z tego cyklu pomyślanego jako pięciotomowy była *Elektryczność i magnetyzm*. Rękopis otrzymany w lipcu 1951 r. wydała Książnica Atlas pod zarządem państwowym w grudniu 1951 r.

Podczas pracy nad *Fizyką dla wszystkich* pojawiły się u ojca trudności ze wzrokiem. Było to odklejenie siatkówki na tle sklerotycznym. Niezbędny był zabieg operacyjny. Ówczesne metody dawały niewielką szansę powodzenia. Operację przeprowadziła siostra-urszulanka, doktor Wojno, znana okulistka. Niestety zabieg nie powiódł się, oko było stracone. Co gorsza pojawiły się te same oznaki w drugim oku. Po kilku miesiącach ojciec zaniewidział zupełnie. Ale i w tym nieszczęściu Wacław nie załamał się, nie zaprzestał pracy. Nie przerwał przede wszystkim wykładów na Politechnice. Żona jeździła z nim do Warszawy, gdzie asystentka zabierała go do Politechniki. Tam ojciec prowadził wykład, a asystentka przeprowadzała pokazowe ćwiczenia, oraz wypisywała potrzebne formuły i wzory. Również prace nad *Fizyką dla wszystkich* nie zostały wstrzymane. Wynajęta sekretarka notowała tekst i przygotowywała szkice rysunków. Oczywiście, taka praca była trudniejsza, powolniejsza, wymagała wielkiej koncentracji uwagi i pamięci od ojca. Ale prawie cała czwarta książka powstała właśnie w ten sposób.

Mimo zagrożonego zdrowia potrafił ojciec utrzymać się w nurcie życia. Zaraz po końcu wojny miał odczyt w lokalu brwinowskiej szkoły na temat fizycznych podstaw bomby atomowej i perspektyw zastosowania nowo odkrytej energii dla celów pokojowych.

Ale koniec już się zbliżał. Niedziela wielkanocna 28 marca 1948 roku upłynęła w naszym domu cicho i spokojnie. Przy łóżku niewidomego była żona i dwoje młodszych dzieci, mieszkająca nadal w Brwinowie Maria i przybyły na Święta Stanisław. Ojciec prosił o przeczytanie mu fragmentu Ewangelii opisującego Zmartwychwstanie Chrystusa. Opowiadał też żonie o swoim śnie, z uśmiechem trochę kpiarskim, trochę wzruszonym. Dziwny był to sen: kazano w nim Ojcu podpisać się w księdze. Gdy to uczynił, przeczytał nagłówek: „Tu się podpisze człowiek dobry". Wieczorem wysłuchał przez radio jednej z sonat Beethovena. Ucieszył się tym bardzo, bo owej sonaty nie słyszał od czasów studenckich, kiedy grywał ją w gronie kolegów.

W drugi dzień Wielkiej Nocy obudził się nieprzytomny. Zawezwano panią doktor Tarwidową, która wtedy opiekowała się zdrowiem ojca. Stwierdziła wylew krwi do mózgu i kazała zaraz przystawiać pijawki. Pobiegłem do apteki, ale tam pijawek nie mieli, trzeba było jechać do Milanówka. Wracając do domu, aby zdać sprawę z sytuacji, spotkałem zapłakaną żonę. Pijawki już się okazały niepotrzebne. Dobry człowiek stanął po drugiej stronie.

Pogrzeb ojca odbył się w Warszawie dnia 31 marca 1948 roku. Nad grobem przemiawiał ks. pastor Jan Niewieczerzał. Powiedział między innymi:

> „Bardzo trudno oswoić się z myślą, że nie mamy tu stałego miejsca, ale onego przyszłego szukamy. Że sądzone nam jest kochać tę ziemię, ale nie przywiązywać się do niej. Miłować naszych najbliższych, ale zawsze być gotowym do rozstania. Najtkliwiej obcować ze sobą, przywykać do siebie, skupiać się dokoła domowego ogniska, pamiętając wciąż, że to tylko chwilowe szczęście, że w miarę mijania czasu będziemy się starzeć, więdnąć i wreszcie przyjdzie kres. Nie miłości – a miłości ziemskiej. Nie szczęścia i nasycenia, a ziemskiego szczęścia i nasycenia. I wierzymy święcie wbrew wszystkim pozorom, że nie śmierć będzie miała ostatnie słowo."

Ojciec został pochowany w grobie rodzinnym na cmentarzu ewangelicko-reformowanym w Warszawie przy ul. Żytniej, kwatera S numer 23.

Po otwarciu testamentu okazało się, że ojciec wszystko, co mu pozostało, zapisał w równych częściach żonie, trojgu żyjącym dzieciom i wnukowi po czwartym dziecku. Powstała wtedy kwestia następująca: wielokrotnie ojciec wspominał, że chciałby kilka swoich najcenniejszych obrazów ofiarować Muzeum Narodowemu w Warszawie. Myślał przede wszystkim o *Arkadii* Norblina i o *Studium do altany* Gierymskiego. Natomiast plac „Grabówkę" myślał przeznaczyć na bibliotekę dla brwinowskiej młodzieży. Ceny placów były wtedy bardzo niskie. Spadkobiercy uradzili więc, żeby trochę dostosować wolę ojca do sytuacji, wolę

nie wyrażoną co prawda w testamencie. Postanowiliśmy sprzedać obrazy do Muzeum Narodowego, a uzyskane ze sprzedaży pieniądze użyć na zakup książek do księgozbioru utworzonej niedawno biblioteki miejskiej. Została w tej sprawie sporządzona umowa, której tekst przytaczam według oryginału, znajdującego się w moim posiadaniu (teczka *Pamiątki rodzinne*).

„Umowa
Zawarta w dniu 24 lipca 1950 roku, pomiędzy Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Brwinowie, w osobach obywateli: Kujatha Józefa, Bancera Stefana i Ćwiklińskiego Józefa, działającym na podstawie uchwały Miejskiej Rady Narodowej w Brwinowie, z dnia 28 czerwca 1950 r. (protokół Nr VIII/50) z jednej strony, a obywatelką Jadwigą z Zalewskich Wernerową, działającą w imieniu i upoważnieniu Obywateli Haliny z Wernerów Więckowskiej, Marii Zofii Werner, Stanisława Adolfa Wernera oraz Marii Krystyny Wernerowej jako opiekunki małoletniego Tadeusza Wernera, spadkobiercy ś.p. Wacława Wernera – o ś w i a d c z a j ą, iż z tytułu spadkobrania po ś.p. Wacławie Wernerze odziedziczyli obrazy:
pkt I. 1. Al. Gierymskiego szkic do obrazu *W altanie* 2. Norblina *Arkadia* 3. Ryszkiewicza *Patrol.*
Wyżej wymienieni działając zgodnie z wolą Zmarłego ś.p. Wacława Wernera, wyrażoną ustnie, wyszczególnione w punkcie pierwszym obrazy darowują Miejskiej Radzie Narodowej w Brwinowie pod następującymi warunkami: a) Miejska Rada Narodowa w Brwinowie sprzeda wymienione obrazy wyłącznie Muzeum Narodowemu w Warszawie, b) pieniądze uzyskane ze sprzedaży tych obrazów zostaną przeznaczone na założenie Biblioteki młodzieżowej w Brwinowie, c) wymieniona biblioteka zostanie założona w terminie rocznym od daty otrzymania gotówki, d) w razie niewykorzystania zobowiązania zawartego pod literami a, b, i c pieniądze ulegają zwrotowi darczyńcom.
pkt II. Działający w imieniu Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Brwinowie Ob.Ob. Kujath Józef, Bancer Stefan i Ćwikliński Józef oświadczają, iż wyżej wymienioną darowiznę z wdzięcznością przyjmują i zobowiązują się do dotrzymania i wykonania warunków dotyczących niniejszej umowy.
pkt III. Warunki niniejszej umowy zostały przyjęte i zaakceptowane przez Miejską Radę Narodową w dniu 28 czerwca 1950 roku.
pkt IV. Na tym umowa niniejsza została zakończona i przez strony podpisana.

W imieniu Rady Narodowej w Brwinowie podpisali
1. (–) Kujath Józef
2. (–) Bancer Stefan
3. (–) Ćwikliński Józef"

W imieniu darczyńców z upoważnienia podpisała
(–) Dr Jadwiga Werner

Przyda się tu kilka słow wyjaśnień. W chwili, gdy uczyniono powyższy zapis, istniała już Biblioteka miasta Brwinowa. Zakładała ją i prowadziła pani Żurowska. W tym czasie najmłodsza córka Wacława ukończyła wyższe studia bibliotekarskie na Uniwersytecie w Łodzi i rozpoczęła pracę w owej niedawno założonej bibliotece w Brwinowie. Ona też osobiście zajęła się doborem, wyszukiwaniem i kupowaniem książek do biblioteki miejskiej z takim nastawieniem, żeby właśnie dla młodzieży zebrać jak najwięcej wartościowej lektury. Sprawa więc została załatwiona do końca.

Jeszcze jedną wolą wyrażoną ustnie, lub też we wcześniejszej wersji testamentu, był zamiar wspomożenia finansowego księży pastorów warszawskiego zboru ewangelicko-reformowanego. Echo tej sprawy znalazło się w papierach Jadwigi Wernerowej po jej śmierci. Był to list, którego treść przytaczam: „Warszawa, dnia 27.X.1949 r. Wielce szanowna Pani. W imieniu duchownych Kościoła Ewangelicko-Reformowanego mam zaszczyt złożyć Jej niniejszym najserdeczniejsze podziękowania za przekazaną w dniu 26 b.m. sumę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy złotych. Suma ta zostanie zużyta w myśl intencji Jej męża ś.p. Wacława Wernera. Z życzeniami błogosławieństwa bożego".

Po śmierci ojca zgłosił się młody człowiek, któremu, jak się okazało, ojciec udzielił stypendium na studia. Jadwiga postanowiła kontynuować stypendium, aż do skończenia tych studiów.

Wszystkie rękopisy do czterech tomów *Fizyki dla wszystkich* były w wydawnictwie złożone już po śmierci ojca. Żona i asystentka ojca przygotowały to, czego ojciec sam nie zdążył. W planie była jeszcze piąta książka, która miała traktować o fizyce atomu i jądra atomowego. Do tej części ojciec nie zdążył nawet zebrać materiałów. W tej sytuacji żona zwróciła się do młodego fizyka, którego ojciec cenił zarówno za wiedzę, jak i talent popularyzatorski, Jerzego Rayskiego, z propozycją napisania tej brakującej części książki. Niestety, p. Rayski nie przyjął propozycji. Tak więc to dzieło pozostało niedokończone. Wyszły tylko cztery tomy, ostatni wydany przez Książnicę-Atlas już upaństwowioną.

W kilka lat po wojnie, nie wiem dziś jaką drogą, dotarły do rodziny pieniądze, przeznaczone dla ojca, jako honorarium za podręczniki fizyki, (przedruki) wydawane w czasie wojny na Bliskim Wschodzie dla potrzeb dokształcających się żołnierzy z tzw. Armii Andersa, oraz dla polskiej młodzieży, wziętej pod opiekę przez tę armię.

* * *

Tyle udało mi się zebrać wiadomości o życiu ojca – profesora Wacława Wernera.

PRZYPISY

[1] Kazimierz Elwertowski, *Szkoła i życie – ze Wspomnień nauczyciela*, „Iskry", Warszawa 1962, s. 242.

[2] Oryginał przechowuje rodzina najstarszej córka, Heleny Więckowskiej, kopie posiadają dzieci (i wnuk) Wacława oraz Towarzystwo Przyjaciół Brwinowa.

[3] 1. W. Werner ein W.H. Keesom, *De verandering wet de temperaturum von de dielektrische constante von vlicibare en faste waterstoff*. „Verst. d. Konink Akademie v. Wetenshappen to Amsterdam" XXXIV, 1925 oraz „Leiden Comm." 178 s.

2. W. Werner ein W.H. Keesom, *De verandering wet de temperaturum von de dielektrische constante vom vlocibare zunrstoff*. „Versl. d. Kon. Ak. v. Wetensh. to Amsterdam" XXXV, 1926 oraz „Leiden Comm." nr 178 c.

Po polsku prace te ukazały się w następującej formie:

1. W. Werner i W.H. Keesom, *Zależność stałej dielektrycznej stałego i ciekłego wodoru od temperatury*. „Sprawozdania i Prace Polskiego Towarzystwa Fizycznego" 2.VII. 1926.

2. W. Werner i W.H. Keesom, *Zależność stałej dielektrycznej ciekłego tlenu od temperatury*. „Sprawozdania i Prace Polskiego Towarzystwa Fizycznego" 1926.

[4] *Politechnika Warszawska 1915–1925. Księga Pamiątkowa*, pod red. L. Staniewicza, Warszawa 1925.

[5] Oto lista tych podręczników:

1. Stanisław Malec i Wacław Werner, *Fizyka dla III klasy gimnazjalnej*, Książnica Atlas Lwów-Warszawa, 1935.

2. Stanisław Malec i Wacław Werner, *Fizyka dla IV klasy gimnazjalnej*. Książnica Atlas Lwów-Warszawa, 1936.

3. Wacław Werner, *Fizyka dla I klasy licealnej. Wydział humanistyczny*. Książnica Atlas Lwów-Warszawa, 1938.

4. Wacław Werner, *Fizyka dla II klasy licealnej. Wydział humanistyczny*. Książnica Atlas Lwów-Warszawa, 1938.

[6] Oto lista tych artykułów:

1. *Opór* [dziś rezystancja] *metali w temperaturach bardzo niskich*. „Przegląd Elektrotechniczny", 1927.

2. *O programach nauczania fizyki*. „Fizyka i Chemia w Szkole", t. II.

3. *Uwagi i komentarze do nowego programu nauczania fizyki*. „Fizyka i Chemia w Szkole", 1934.

4. *Wychowawcze znaczenie nauczania przyrody*. „Czasopismo Przyrodnicze", 1929.

5. *O traktowaniu błędów pomiarowych w fizyce szkolnej*. „Fizyka i Chemia w Szkole", 1933.

6. *Kilka uwag o rozwiązywaniu zadań liczbowych z fizyki*. „Fizyka i Chemia w Szkole", 1933.

7. *Doświadczalne traktowanie potencjału elektrycznego w szkole*. „Fizyka i Chemia w Szkole", 1933.

8. *Skroplenie powietrza przez Olszewskiego i Wróblewskiego*. „Wszechświat", 1933.

9. *Nadprzewodność*. „Fizyka i Chemia w Szkole", 1934.

[7] W historii 23. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej czytamy:

„Dopiero w 1930 roku udało się Leszkowi Górskiemu przekonać dyrektora [do harcerstwa]. Zaraz też powstało Koło Przyjaciół Harcerstwa z przewodniczącym Zarządu profesorem Wacławem Wernerem. Koło od samego początku działało sprawnie i energicznie. Tak więc organizowało zebrania dyskusyjne, interesowało się pracą i potrzebami drużyny, pomagało niezamożnym harcerzom we wnoszeniu opłat za obozy, organizowało impresy dochodowe. Niebawem liczba członków sięgała 70 osób."

W jednym ze sprawozdań rocznych 23. WDH znalazłem opinię przewodniczącego KPH W. Wernera następującej treści:

„Drużyna funkcjonowała bez zarzutu. Mogę tylko mieć wyrazy prawdziwego uznania dla drużynowego za jego energiczne i sprawne prowadzenie drużyny.

[8] Rok 1940, wiosna. Słowiki nocami śpiewają. Spać trudno. Nie tylko z powodu słowików, nie tylko z powodu nocnej gry na skrzypcach, tęsknej i smętnej, którą z uporem uprawia któryś z sąsiadów. Najbardziej z powodu wiadomości radiowych. Ofensywa niemiecka we Francji rozwija się błyskawicznie. Oczy Polaków od października 1939 roku zwrócone na Francję martwieją w przerażeniu. Hasło: „Słoneczko wyżej, Sikorski bliżej", jakże okazało się naiwne. W Brwinowie już się wykształciły drogi, jakimi krążą wieści, komunikaty i gazetki podziemne. Apteka – ten inteligencki magiel – jak ją przezwała macocha, stała się miejscem wymiany plotek, wiadomości ustnych i drukowanych. Drugim takim punktem stał się w tych czasach także nasz dom. Właśnie w związku z ofensywą niemiecką we Francji pamiętam wizytę dwu pań, farmaceutki z brwinowskiej apteki i jej siostry. Obie były żonami polskich oficerów, przebywających albo w niewoli, albo na Zachodzie. Przychodziły do nas często po wiadomości i po wsparcie duchowe. Tego dnia po wysłuchaniu treści komunikatu z nasłuchu zachodniego radia siedzieliśmy milczący, znękani. Pani Jadwiga zapytała ojca:

– Co będzie, gdy Francuzi przegrają wojnę?

– Tę wojnę – odpowiedział spokojnie ojciec – Francja już przegrała. Ale jest jeszcze Anglia, wsparta potencjałem przemysłowym Ameryki.

– A jeśli i Anglia zostanie pobita?

I tu już ojciec nie wytrzymał. Zerwał się z krzesła i krzyknął z wściekłością:

– To wtedy nas wszystkich diabli wezmą!

I wypadł z pokoju, trzasnąwszy drzwiami. On, zawsze opanowany, zawsze spokojny i uprzejmy, zawsze bardzo grzeczny dla dam i w ogóle dla gości, tym razem załamał się. Panie szybko opuściły dom, a później były już ostrożniejsze w pytaniach o przyszłość.

A oto inny fakt: Dr Marian Pertkiewicz w swoich wspomnieniach o szpitalu powstańczym w Brwinowie, spisanych dla Towarzystwa Przyjaciół Brwinowa wspomina, że gdy zaczął tworzyć szpital w czasie Powstania Warszawskiego, lokal uzyskał łatwo, ale brak było pielęgniarek. Wtedy państwo Jadwiga i Wacław Wernerowie z córką Marią zgłosili możliwość zatrudnienia sanitariuszek przeszkolonych na kursach Armii Krajowej w Brwinowie. Była to inicjatywa Marii Werner. Natychmiast powstał zespół kilkunastu pielęgniarek, które pod wodzą szwagierki d-ra Pertkiewicza rozpoczęły pracę i wniosły w nią tyle zapału, serdeczności, że w tych tragicznych czasach szpital był oazą pokoju, życzliwości i humoru. Wśród pielęgniarek były: Maria Werner, Hania Pyżykowska (później Czerni), a także jej koleżanki, mieszkające w domu Wernerów Lodzia Kubalska i Salomea Kozielewska.

The Life of Professor Wacław Werner

SUMMARY

Wacław Henryk Bonawentura Werner (1879–1948) was the son of (August) Teodor Werner, goldsmith, co-founder and managing director of the "Norblin, B-cia Buch and T. Werner" Metal Plant Company, and Albertyna *nee* Norblin. In 1896 he finished his secondary education in Warsaw and went to study engineering at Darmstadt. In 1902 he passed his half-stage diploma examinations, gave up his engineering studies, and went to study mathematics and physics at the Jagiellonian University in Cracow, and at the universities in Göttingen and Freiburg. He received a doctorate in 1909 for his dissertation on *The impact of permanent strain on the thermal and electric conductivity of metals*. When he came to Warsaw, he began to work as a teacher in grammar and vocational schools. Since 1915, he also worked as a teaching and research assistant at the Warsaw

Polytechnic (the Warsaw Technical University). In the 1920s he was head of an inter-school physics laboratory. In 1925 he became a junior lecturer (*adiunkt*) and Deputy Professor at the Division of Physics. In the years 1925–26 he worked at the International Institute of Low Temperatures at Leiden. He published two studies jointly with the head of the Institute, W.H. Kesom, and became a member of the International Cryogenic Institute. In 1928 he presented his *Habilitationsschrift* on *The dielectric constant of liquefied and solidified gases* on the basis of which he was granted *veniam legendi*. He was co-founder of the Physical Society (1919) and until the outbreak of World War II an active member of the Society's Board. He used his experience as a teacher in work on the physics syllabus for secondary schools that he conducted in the Committtee for the Assessemnt of School Aids and in the Syllabus Committee. He published several textbooks of physics, as well as scientific papers in the field; he also made a number of radio programmes popularising physics. For many years he was also a member of the Supervisory Board of the "Norblin, B-cia Buch and T. Werner" company, in Warsaw and Głowno. During World War II, he kept concealed in a brick which formed part of a wall of his home at Brwinów, a radium preparation belonging to the Warsaw Learned Society, whose activities were banned during the war.